



# W piekle lepiej być nikim

maciej maciejewski

Pięć milionów widzów serialu *Glina*  
namawiam do przeczytania tej książki,  
jeśli mają dość odwagi.

*Władysław Pasikowski*

Świat Książki

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

**W piekle  
lepiej być nikim**

# **W piekle lepiej być nikim**

maciej maciejewski

Redaktor prowadzący  
*Ewa Niepokólczycka*

Redaktor techniczny  
*Agnieszka Gąsior*

Korekta  
*Jadwiga Piller*  
*Maciej Korbaśiński*

Copyright © by Maciej Maciejewski, 2011

Copyright © by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki  
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Rosoła10, 02-786 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobą trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2617-2  
Nr 45092

# 1

O drugiej w nocy było po wszystkim. Wrócił do mieszkania i od razu poszedł do łazienki. Najpierw dokładnie umył dłonie, potem wziął prysznic. Dobrze dwadzieścia minut stał z zamkniętymi oczami i z twarzą wystawioną na strumienie spadającej wody. Później pogasił wszystkie światła i stanął w oknie. Nie czuł nic. Pomyślał jedynie, że to żalosna puenta. Że musiał ją zabić właśnie tutaj. Musiał, skoro odbyła taką drogę. Jakiś powinien być przecież sens tej podróży.

Śmieć go zaskoczył. Bogu dzięki, że się poruszył. W ciemności i w gęstej mgle nie zdołał dobrze ocenić jego wieku. Niemniej wyglądał młodo. Mógł stawić opór. Ale zeszywniała strachem, zgarbiona sylwetka, ledwo odrysowana na tle jesiennych liści, pozostała nieruchoma. Przerażone oczy wpatrywały się w postawnego, eleganckiego pana o długich, siwych włosach, który mówił. Spokojnie, bez pośpiechu opowiadał przyjemnym dla ucha, niskim głosem. Opisywał, co robi i dlaczego. Tłumaczył i wyjaśniał. Uśmiechał się nawet, choć czuł odór miesiącami niemytego ciała i gnijącego ubrania. Nie poruszył się nawet wtedy, kiedy stanął za jego plecami i szepnął: Uklęknij i pomódl się do Pana swego, by okazał ci łaskę.

– Nie spiesz się – poradził mu kiedyś mężczyzna w białym garniturze. – Rób wszystko powoli i dokładnie. I mów,

nawet jeśli ci się wydaje, że w tej sytuacji nie masz nic do powiedzenia. Cokolwiek powiesz, to zawsze pozostawi właściwe wrażenie. Stosuj się do procedur, one z reguły nie zawodzą.

– Zastosowałem się. Po prostu zamknąłem drzwi, przekręciłem klucz i wyrzuciłem go. To wszystko – powiedział głośno.

Procedury zabijania są proste jak kij od szczotki. Jednocześnie gumowe rękawiczki zapakowane w foliową torebkę zabrał ze sobą. Spali je przy okazji.

Okno było na piętnastym piętrze i widział z niego rzekę. Akurat teraz przesłoniętą mgłą. Z wysokości piętnastego piętra nigdy nie czuł smrodu wody. Zresztą ktoś mu powiedział, że już nie śmierdzi jak dawniej. Widział również most i sunące po nim samochody. Miasto jest po to, żeby żyć. Na okrągło. Dzień i noc. Bez wytchnienia. Miasto nie ma prawa do czasu na sen. Kiedy wynajął to mieszkanie – mama dała pieniądze, tata miał to gdzieś – wtedy miasto spało, noc w noc. Patrzył na pusty most, a w uszach dźwięczała cisza. Raz na godzinę zakłócało ją popierdywanie nocnego ogórka. Kiedy ostatecznie tu wrócił, kiedy wszystko się zamknęło, znów stanął w oknie i z satysfakcją odkrył, że miasto wreszcie przestało spać. I niech tak zostanie, pomyślał.

Powisłe było jego miejscem. Bóg jeden wiedział, dlaczego aż tak bardzo przywiązał się do tego podłego, szarzielonego skrawka miasta. Może dlatego, że kiedy stał na Solcu, plecami do Tamki, lubił tę ciasną perspektywę domów zamkniętą dwoma mostami. Ani się tu urodził, ani wychował. Wyjeżdżał stąd na lata całe, ale jakkolwiek by kombinował, jakiegokolwiek przyjął założenia, zawsze musiał tu wrócić. Zawsze. Miniaturowe mieszkanko na ostatnim piętrze wieżowca. Pani Z. zapewniła, że z cegły, ale przecież nie będzie skuwać tynków, żeby to sprawdzić. Jego zdaniem wszystkie

wieżowce zrobiono z betonu. Na lewo od mostu Poniatowskiego, jeśli stanie się twarzą do Wisły. Z roku na rok ból w stawach pani Z. był coraz dokuczliwszy, dlatego postanowiła przenieść się do młodszej siostry w Choszczówce. Córka miała mieszkanie, bagatela, trzy pokoje na Ursynowie, przy Dereniowej, ale wyemigrowała z mężem i dziećmi do Kanady. Mieszkanie przy Dereniowej sprzedała.

Oczywiście i Bóg, i on sam dobrze wiedzieli, dlaczego się przywiązał. Bo kiedy z górą trzydzieści lat wcześniej po raz pierwszy stanął w tym właśnie oknie i spojrzął na drugi brzeg, tam, gdzie powinna być Saska Kępa, wiedział już, że patrzy na samego siebie. Żadne lustro. Patrzył na obiekt. Bardzo odległy. Ostatecznie Wisła jest jednak szeroka. Dzień był szary i zamglony. Jak dzisiejsza noc. Wszystko było wilgotne, miasto pozbyło się swoich nielicznych kolorów. Deszcz wisiał w powietrzu, ale tam został. Potem przyszedł lekki wiatr i rozgonił mgłę. Początek jesieni, dobrze to zapamiętał, bo na Agrykoli w trawie leżały pękające kasztany. Bezbarwny i nijaki smutek snuł się po zakurzonych kątach pokoju bez mebli, a jedyne, czego pragnął wówczas najbardziej, to rozmyć się w tej szarości powietrza. Roztopić w niej bez reszty. Utracić barwę, kształt i właściwości.

– No dobrze, to gdzie ja jestem? – zapytał wreszcie. – Tu czy tam?

– Tam – odparł natychmiast, choć nie do końca jeszcze pewien, czy to poprawna odpowiedź. Bo tam są mama i tata. Bo tam jest dom, w którym się urodził. Tam jest twoje dzieciństwo. Tam jest wszystko to, z czego jesteś i czego szczerze nienawidzisz.

– Więc kto jest tutaj? Kto stoi w oknie na ostatnim piętrze wieżowca na Powiślu i kto patrzy na Saską Kępę, której nie widać, bo mgła?

– Ktoś inny.



– Ale kto?

Tego jeszcze nie musiał wiedzieć, zaledwie dwudziesto-jednoletni, trzeci rok studiów, choć miał już przeczucia. Niemniej odpowiedź była tak pogmatwana, tak zaciemniona, że dla kogoś postronnego mogła stanowić nie lada zagadkę.

– Synu, bredzisz – powiedziałyby jego racjonalna matka. – Nie ma cię tu. Przeniosłeś się na drugi brzeg Wisły. I adresu nie zostawiłeś, choć proszę cię o to za każdym razem, kiedy nas odwiedzasz. Mówiąc szczerze, w ogóle tego nie rozumiem. Ukrywasz się przed nami?

Oczywiście, że się nie ukrywał, a ona tak naprawdę miała ten adres w dupie. Ojciec nawet nie zauważył, że już z nimi nie mieszkał. Nie oderwał wzroku od czarno-białej klawiatury fortepianu, kiedy on wychodził z domu z silnym postanowieniem, żeby do niego już nigdy nie powrócić. Ojciec siedział zgarbiony i nieruchomy, w szarym swetrze przetartym na łokciach. Pod swetrem flanelowa koszula w kratę, tak sprana, że dawne wzory stopiły się ze sobą, tworząc pastelowy melanż. Marzył już od wczesnej jesieni. Gdy nadchodziły mrozy, wkładał baranią kamizelkę, którą w sześćdziesiątym trzecim kupił w Bułgarii. Używał tylko prawej dłoni i obywatel się bez słów. Zamiast nich jeden irytujący dźwięk. Klawisz fortepianu zmieniał się rzadko i bez reguły. Uderzał w niego tak długo, aż wyczerpał wszystkie tkwiące w nim możliwości. Raz zajmowało mu to godzinę, innym razem cały dzień. Gorzej, kiedy dla zgłębienia jego tajemnicy trzeba było aż dwóch dni. Plim-plim-plim-plum-plum-plum-plam-plam-plam.

– Wybacz, że pytam, ale to dosyć charakterystyczne nazwisko – zapytała go nauczycielka historii we francuskim liceum na Saskiej Kępie. Był już w trzeciej klasie. – To twój ojciec?

Wtedy nie umiał jeszcze kłamać. Zresztą nie miał powodów. Nie wiedział, że są powody, dla których powinien

skłamać. Więc dumnie wypiął pierś, a nieczytelny grymas na chwilę wykrzywił twarz nauczycielki. Trzy lata później, stojąc w tym właśnie oknie i patrząc na zakrytą mgłą Saską Kępę, wiedział już, że tu nie ma przebaczyć. Poza wszystkim to jednak beznadziejnie nudne, jedno imię i jedno nazwisko raz na zawsze, do usranej śmierci. Taka nieznośnie monotonna jednostajność. Niepotrzebnie dana raz na zawsze osobność. Odrębność, której nie sposób się pozbyć. Dystynkcje, naszywki na pagonach, których nie można odpruć, a które wlokły się wraz z człowiekiem aż do grobu. Jak kantata o wielkim językoznawcy. Skomponował jeszcze ogromną pawanę na jego śmierć, gdy językoznawca zgasł wreszcie w Panu, ale potem było przecież kilkadziesiąt weselszych piosenek. I o grzybkach, i o karuzeli. Jedna nawet o hipopotamie, a jeszcze inna o Mokotowie. Skąd mu się wziął ten Mokotów? Okupację i powstanie przeżył w Śródmieściu. Potem już tylko Saską Kępę. Językoznawca, grzybki z karuzelą, hipopotam i Mokotów, to był jednak spory bagaż.

Trzydzieści z górą lat temu, stojąc w tym oknie i patrząc na Saską Kępę, miał już tę pewność, że lepiej nie nosić tego wszystkiego przy sobie. Bo to ciężar, a ciężar zawsze opóźnia marsz. Lepiej opróżnić kieszenie, ich zawartość schować do pudełka, a pudełko znieść do piwnicy lub przynajmniej ukryć na dnie szafy, pod bielizną. Nie trzeba wyrzucać. Po prostu odsunąć na bezpieczną odległość. Jaka odległość jest bezpieczna? Piętnaste piętro i szerokość Wisły to jest już odległość względnie bezpieczna. A reszta niech się roztopi w szarym powietrzu.

– Stawiasz jakieś dodatkowe warunki? – zapytał mężczyzna w białym garniturze, kiedy po raz pierwszy usiedli na tarasie maleńkiej kawiarni na wzgórzu, z dala od centrum miasta.

Był sierpień, słońce paliło jak zawsze tutaj o tej porze, mężczyzna w białym garniturze się pocił. Węzeł krawata wrzynał się w otłuszczoną szyję, ale on go nie poluzował. I nie zdjął marynarki. Miał rozlazłą nadwagę typową dla wypasionych ludzi ze swojego kraju, ale w tym zwalistym, ospałym ciele, w tym leniwym i grubaśnym przegubie oplecionym bransoletą złotego roleksa ukrywała się szybkość i przebiegłość.

– Chcę być kimś innym – odparł szczerze.

– A konkretnie?

– Nikim.

Pierwszy raz powiedział to głośno. Wprost i komuś obcemu. Zdziwił się, że poszło tak łatwo. Mężczyzna w białym garniturze w lot pojął ideę, bo odparł lekko:

– Na swój sposób chyba już jesteś.

– To za mało.

– Chcesz więcej?

Skinął głową. Pili kawę. Albo udawali, że piją. Mężczyzna w białym garniturze nawet nie tknął filiżanki.

– Obaj sporo ryzykujemy. To jest jednak kradzież. – Nie spodziewanie parsknął śmiechem.

Wzruszył bezradnie ramionami. Mężczyzna w białym garniturze się zamyślił. Odchylił połę marynarki, by nieco przewietrzyć przyklejoną do pleców koszulę.

– Musisz się tego nauczyć – powiedział nagle.

– Zrobię to. Szybko się uczę. Mam łatwość.

– Nie jesteś agresywny.

– A powinienem być?

Mężczyzna w białym garniturze nie odpowiedział. Odsunął spodek z filiżanką na środek stolika, by zaraz przysunąć go z powrotem.

– Jestem pewien, że tego też mogę się nauczyć. – On dodał to jeszcze, żeby tylko zamknąć ten wątek.

\*

Plim-plim-plim-plum-plum-plum-plam-plam-plam. Nie znalazł sposobu, żeby z tym wytrzymać. Ściany jego pokoju w mieszkaniu, w trzypiętrowej kamienicy z dwudziestego szóstego, były grube, nie na tyle jednak, żeby powstrzymać nieznośny, jednostajny dźwięk, który świdrował kość czaszki i wdierał się do mózgu.

– Dlatego muszę się wyprowadzić, mam. Jestem już na drugim roku. Chcę skończyć te studia. Będę miał bliżej na uczelnię.

– Oczywiście, że je skończysz. Są beznadziejnie łatwe, a ty jesteś bardzo inteligentny. Nie rozumiem, dlaczego je wybrałeś. Po jaką cholere ci ta dziwna filologia?

– Zawsze lubiłem bawić się słowami.

– Nie mogłeś wybrać czegoś bardziej użytecznego? Na przykład anglistyki? Masz jakiś pomysł, co będziesz robił po dyplomie?

– Może przetłumaczę jakieś książki? Mają wielu świetnych pisarzy. Jeden nawet dostał Nobla. Inny był brany pod uwagę. Nadal jest.

Był czerwiec, zbliżała się północ i ojciec już spał. Siedzieli w kuchni. Zaledwie kwadrans wcześniej wróciła z pracy do domu. Najpierw nalala sobie wódki do kieliszka, opróżniła go po męsku, za jednym zamachem, a zaraz potem zapaliła papierosa.

– Przepraszam, że tak późno. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Nawet nie spróbował.

– Musieliśmy wypracować w redakcji jakieś stanowisko. Użyli siły. Nie wiem, czy zdołają to ukryć. Nie możemy udawać, że nic się nie stało.

Możecie. Przecież jesteście po to, żeby udawać. Siedzicie okrakiem i uśmiechacie się głupio, że niby nic a nic was nie uwiera. W gruncie rzeczy to od niej nauczył się kłamać, choć

dotarło to do niego dopiero po latach. Po raz drugi napełniła kieliszek.

– Boją się, że to może spowodować jakiś ruch na uczelniach. Musisz mi coś powiedzieć.

– Po pierwsze, nie muszę, mam, po drugie, niby co miałbym ci powiedzieć? Poza tym jest sesja i koniec roku.

– Dlaczego jesteś taki? Skąd ci się to wzięło?

– Po prostu gównu mnie to obchodzi, droga mam.

– Zlituj się, to jest twój kraj.

– Może. Nie wiem. Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, mnie się to nie podoba.

Zauważył niepokój w jej oczach.

– Co ci się nie podoba?

– Sam sobie się nie podobam w tym kraju – wyjaśnił.

Nigdy nie zrozumiał, dlaczego chciała zostać matką. Po co jej było dziecko? Dlaczego się urodził? Przez całe życie była podlotkiem. Miała pięćdziesiąt lat, a od maja do września potrafiła chodzić bez stanika. Dlaczego musiał być na to narażony? Na te ciężkie i ogromne balony o grubych, sterzających sutkach, rozhuśtane pod cienką tkaniną letnich sukienek? Zdarzało się, że majtek też nie wkładała.

– Jesteś z kimś? – zapytała przy drugim papierosie.

– Nie.

– Nie spotykasz się z dziewczynami?

– Spotykam, nawet często, ale jestem sam.

– Uwodzisz je?

– To niedobrze?

Milczała długą chwilę, zanim odparła:

– Podobasz się kobietom, ale nie wykorzystuj tego.

– Dlaczego?

– Powinieneś być wobec nich uczciwy.

– Jestem uczciwy wobec samego siebie, mam. To dużo. Nawet bardzo dużo. Na inną uczciwość już mnie nie stać.

Opróżniła kolejny kieliszek i zapaliła kolejnego papierosa.

– Dam ci pieniądze, żebyś wynajął to mieszkanie. Ojca w to nie mieszaj. Podoba ci się?

– Bardzo. Ma interesujący widok z okna.

Raptem jeden pokój, trzeba przyznać przestronny i ustawny, kuchnia i łazienka. Razem z ubikacją, ale umówmy się, w tamtych czasach to nie był żaden dyskomfort. Nadal nie jest. Kuchnia, nawet jak na ten metraż, była jednak bardzo ciasna. Trzydzieści lat temu w ogóle nie przyszło mu do głowy, że kiedykolwiek będzie gotować. Nie miał o tym zielonego pojęcia i nie pamiętał, czy ktoś w rodzinie był dobrym kucharzem. Jadał w barach wokół uniwersytetu, a w niedzielę na obiady wciąż jeździł do mamy. Kuchnia była w sam raz, żeby zjeść rano bułkę i wypić kawę. Nieistotna i drugorzędna. Dopiero gdy wrócił z drugiego stypendium, które zakończyło się propozycją regularnych wykładów, odczuł nagle nikczemny rozmiar własnej kuchni. Nie zmienił jednak mieszkania. W osiemdziesiątym piątym, kiedy wpadł ledwie na dwa miesiące, przeczuwając, że nieprędko tu wróci, chciał je nawet kupić na własność. Po dwóch stypendiach, trzech publikacjach, kilku tłumaczeniach i z perspektywą zupełnie nowego, jakże ekscytującego kontraktu mógł już sobie na to pozwolić. Pani Z. jednak myślała o córce.

– Przecież ja muszę jej coś zostawić, prawda? A jak jej tam nie wyjdzie w tej Kanadzie? A jak będzie chciała wrócić? Moim zdaniem bardzo głupio zrobiła, że sprzedała Dereniową. Zadzwoiłam kiedyś do sąsiadki, pani G., tej z dołu, i zapytałam, czy nie ma z panem żadnych kłopotów. Wie pan, co odpowiedziała? Że nawet nie wie, jak pan wygląda.

Niespełna rok przed śmiercią, czując, że to już nieuchronne, zapisała mieszkanie córce, która dzień w dzień, z wyjątkiem niedziel i świąt, o piątej trzydzieści tamtejszego czasu rozpoczynała ciężki, zgarbiony marsz z wiadrem i mopem,

który wiódł ją przez rozległe wnętrza cudzych mieszkań, biur i domów. Idź do kościoła i podziękuj Bogu, powiedziała ciotka Heńka. W tym wieku i bez języka to najlepsze, co ci się mogło trafić. Inaczej musiałabyś tyłkiem zarabiać. Wiesz, ile inne czekają na taką okazję? A mąż z dziećmi dzień w dzień, bez wyjątku, włączając niedziele i święta, przed telewizorem. Tato, mamy czterdzieści siedem kanałów! I piwo w puszkach, takie jak w Peweksie, albo i lepsze.

Przysłała mu list z zawiadomieniem o śmierci i dacie pogrzebu pani Z. Przyleciała w pośpiechu, bo sprawa rozwodowa w toku. Mieli już papiery, ale z językiem wciąż kława, to Quebec, francuski do łatwych nie należy, więc nawet z obrońcą przez tłumacza. Dobrze, że rodzina na miejscu zechciała zadbać o pochówek. Nie znam pana, ale mama ciepło o panu mówiła, dlatego sobie pozwoliłam. W kwestii formalnej, może pan nadal wynajmować to mieszkanie, jeśli chodzi o mnie, to bardzo wygodne. Z poważaniem Z. (jeszcze przed wyrokiem, ale wróciłam do panińskiego nazwiska). Na kopercie wypisała starannie długopisem wciąż aktualny adres zmarłej matki i nazwisko, z którym niewiele miał już wówczas wspólnego. Tłumaczenia publikował pod pseudonimem. List wraz z kopertą spalił, ale na pogrzeb poszedł.

Spotkali się w mieszkaniu, żeby podpisać nową umowę. Zbliżała się do czterdziestki i była przyjemnie zaokrąglona, trochę szeroka. Miała dziecinnie gapiowatą twarz, podwójny podbródek, lekką asymetrię i brązowe, naiwne oczy. Gładka skóra połyskiwała na pulchnym dekolcie.

– Nic pan tutaj nie zmienił – zdziwiła się. – Jakby mama dopiero co wyszła.

Zapłacił za rok z góry. Rozkleiła się, gdy zobaczyła wypchaną kopertę.

– Przepraszam, że tak od serca, ale obcemu łatwiej. Mama mówiła, że pan jest miły i wykształcony, a teraz, kiedy jej

nie ma, to ja już nie mam do kogo. Zwyczywał mnie od kurew przed sądem, a ta pizda tłumaczka wszystko przetłumaczyła. Pewnie mu gdzieś dała, bo on wpycha tego swojego fajfusa w każdą dziurę, jaką napotka. I żłopie. Mama mówiła, że pan dużo podróżuje, więc jakby pana zaniósło w moje strony, to zostawię adres. Mam trzy pokoje, jak na Ursynowie, ale dużo większe, wierzę, że sąd mi je przyzna, więc nawet dzieci nie będą nam przeszkadzać. Czuję się dziwnie.

On też. Pierwszy raz kochał się ze starszą od siebie kobietą. Bez słowa i bez pośpiechu wyplątywali się z własnych ubrań. Z ulgą, której wcześniej nie znał, zanurzył się w jej bujne, miękkie i gładkie ciało. Ciepłe i leniwe. Łagodnie po-fałdowane. Niespieszne w ruchach. Wdychał jego zapach, a ona objęła go udami. Drobne stopy zaplotła na jego pośladkach. Czule dotykała go spracowanymi dłońmi. Krzyknęła raz jeden. Zauważył łzę, która niespodziewanie zakołysała się w kąciку brązowego oka. Przed upływem roku przysłała list z numerem konta, na które miał wpłacać pieniądze. Dostała rozwód i mieszkanie. Na końcu napisała: „Tęsknię za tobą. Bardzo”. I dorysowała czerwone serduszko.

To był już trzeci miesiąc jego drugiego stypendium. Właśnie tego, po którym odkrył ciasnotę własnej kuchni. Była dziewiąta rano czasu środkowoeuropejskiego i wspinał się wąską, brukowaną kamieniami uliczką. Po obu jej stronach wyrastały niskie, dwu-, góra trzypiętrowe domy. Wszystkie z ubiegłego wieku, albo i starsze. Nie potrafił tego ocenić. Architekturą zajmował się po amatorsku. Pokryte lizajem wilgoci, szarobeżowozielonkawe fasady. W niektórych oknach na parterze łagodnie wygięte kraty. Szedł opatulony płaszczem, bo deszcz wówczas też wisiał w powietrzu, a sine, napęczniałe chmury pędziły tuż nad jego głową. Taki grudzień tutaj to normalne. A tam karnawał.



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).